

R. Turniejov

Wszyscy papieże świata

Większość ludzi myśli, że rekord wielopapiestwa został ustanowiony za czasów wielkiej schizmy, gdy Benedykt XIII, Grzegorz XII i Jan XXIII rywalizowali o władzę w Kościele katolickim. Z największą liczbą antypapieży mamy jednak do czynienia w XXI wieku. A ich ilość idzie w setki.

W roku 2016 otrzymaliśmy z Maciejem Borowskim grant naukowy Fundacji Badań Religijnych im. Stanleya Carpentera. Celem projektu było udokumentowanie poglądów teologicznych papieży stojących poza głównym nurtem. Odbycie podróży i pielgrzymek. Rezultatem – poznanie wszystkich papieży świata.

Wszyscy papieże świata VIII – papież Baltazar

Wyśnilem długie, strome schody, po których światło zbiegało jak wiatr. Wszystkie ich stopnie były krzywe, większość sięgała mi do kolan, ale zamiast budowniczego schodów, obwinałem samego siebie o powolne tempo. Śpieszyłem się na górę, wiele zależało od tego, żebym zdążył na czas, może nawet wszystko – tłumaczyłem sobie własne przerażenie w obliczu spóźnienia.

Nad ranem zbudziła mnie Moskwa, dopiero pięć minut później spróbował spóźniony budzik, którego infantylną melodię zostawiłem włączoną dla nieuwarunkowanego jeszcze, zakutanego aż po uszy w białą pościel Macieja. – Siema. – Siems. Senny świąd: opuchnięte, szczypiące twarze, spierzchnięte wargi, zakrzepnięte nosy, zęby rozpuszczone i gumowate od nocnego szlamu; pozostałości po noclegach w podróży niesione zostają w stronę łazienki, plusk! – i wymoczone; rdzawa umywalka chybcze się od twardej wody, wychłapane krople padają na wyłożoną turkusowymi płytkami posadzkę – to sam pośpiech cieknie po podłodze. Równy o dziewiątej, na czczo, ale z pełnymi jelitami siadamy do laptopa, pod którym postukuje kulawy kredens barwy brąz. Niestrudzona wskazówka sekundowa przeskakuje kolejny płotek, nadchodzi ósma; równo o ósmej pięć zaczynamy przeklikiwać klejącymi się z podenerwowania palcami polecenia wydawane na ruskim komunikatorze internetowym przez użytkownika o nicku Kashtansky78. „Jeśli chcecie spotkać naszego Papieża róbcie co wam każe”. A chcemy bardzo spotkać ich papieża, dlatego zgoda

na egzamin wytrwałości czy też szczerości intencji wydana zostaje bez zastanowienia, choćby dla samej radości, jaką sprawiać powinna szopka podchodów z papieskimi szwajcarami, w Krakowie jeszcze nas śmiesząca, w Moskwie już zakwitająca wrzodami, gdy pomyśli się o możliwych konsekwencjach spoufalania dwóch Polaczków z sektami religijnymi, być może wywrotowymi. Daleko do domu, chociaż wyobraźnia podpowiada, że przez granicę widać, jak dymią polskie kominy.

Papież Baltazar jest odpowiedzią dla wszystkich, którym dolega cerkiewny śwąd. Papież Baltazar to enigmatyczna postać kursująca między wiernymi przez darknet, na pograniczu legalności internetu, w wilgotnym cieniu udziela za drobną opłatą chrztów, rozgrzeszeń i namaszczeń od roku 2005. Z ciemności wystaje tylko jego złota, rogata, bizantyjska maska.

Baltazar pozostaje anonimowy. Daje się poznać jedynie wyselekcjonowanym jednostkom i tylko na ich wyraźne życzenie. Uroczyste ujawnienie dokonuje się po przekroczeniu Progu Zaufania, skoku-misterium, do którego wzięliśmy już niezbędny rozbieg mentalny, działając zgodnie z pierwszym poleceniem, które przydreptało do nas na czacie: przylecieliśmy do Moskwy z Warszawy wybranym przez komisarzy Baltazara lotem 9954. Zajmując wskazane miejsca, mieliśmy poczucie, że jesteśmy eskortowani spojrzzeniami. Potem nocleg w hotelu Wasiliewskim, również wybranym przez sektę Baltazara. Dowcipnisie kazali nam zająć pokój dwuosobowy z małżeńskim łóżem, okupowanym przeze mnie po zwycięskim rzucie monetą. Maćkowi pozostała hańba i twarda, spękana kanapa z rozstępami na bordowym pokrowcu; wszystko przez pana użytkownika Kashtanskiego78, który skrupulatnie sterował każdym, ale to każdym aspektem pobytu swoich gości, nic nie pozostawiając przypadkowi ani ich własnemu widzi mi się. Ściany wydawały się utkane z jego agentów, sufit miał fakturę mikrofonu, nawet szafka brodząca nad ranem w słońcu migła sygnałami świetlnymi. Trudno było nam się skalibrować z narzuconymi regulami. On klaszcze, my skaczemy. Czy można się spodziewać, że faktycznie Baltazar

istnieje? Że go poznamy? Czy papież Baltazar to ptak, który nie lata, gniazd nie wije? Tylko śpiewa?

Trele prowadzą pod moskiewskie metro i zadaszony przystanek tramwajowy przed nim. Popisana sprayem buda, ubłocona tylko lekko, jak powiedziałby miejski urzędnik, z dwoma ławkami pod daszkiem, których nogi pokryte są rdzawą wysypką.

Wszystko – ławka, przystanek i nasze poszukiwania Baltazara – cofa mnie wstecz. Mam osiemnaście lat. Pierwszy wiersz, jaki entuzjastycznie napisałem, był szczerem turpizmu, opisywał truchło rozwalcowanego na torowisku lisa, ciężko dostrzegalne przez porzewiałe opilki żelaza pokrywające szczelnie szyny przy stacji Kraków Zabłocie, gdzie zapędziłem się ze specyficznym Bartkiem po wypaleniu w plenerze cienkiego blanta i dokończeniu go na peronie („Większość proponuje po machu. Ja lubię, jak bierze się po dwa buch na głowę, ludzie są zawsze zdziwieni”). Bartek był bardzo specyficzny. Gadał bez przerwy, jak truje się najróżniejszymi lekami, szukając fazy. Noc była chłodna, wyczuwam we wspomnieniach październikowe ziewy. Umówiliśmy się pod jego mieszkaniem, a kiedy zobaczył mnie w eleganckim płaszczu i czarnym kapturze naciągniętym na wystrzyżoną do zera głowę, powiedział: „Kurwa, chodź, lepiej, żeby moja matka cię nie widziała. Jeszcze tego mi brakuje, żeby o ciebie wypytywała... Zażyłem dziś trochę chlorofaldinu. Ale czuję się jak po koloscorbinie, niezły zjazd. Albo firomarin... ten dopiero daje w czapę!”

Z Bartkiem przeszliśmy się do Galerii Kazimierz. Zaprowadził mnie nieużywaną klatką schodową, z której korzystali widzowie po wyjściu z kina, na najwyższe piętro, do białego pomieszczenia tuż przy wyjściu na dach. To była miejscówka jego i jego przyjaciół; ściany popisane cytatami z piosenek, żartami, koślawymi rysunkami, między innymi poetyckim, rozmarzonym okiem w wrysowanej węglem kobiecej twarzy, popielniczka, kilka drewnianych palet do siedzenia, puste butelki i kawałek przypalonego materaca – i nikt nigdy ich tu nie przyłapał? Nikt nigdy ich tu nie przyłapał. Wtedy zaskakiwało sympatycznie sąsiedztwo dwóch tak różnych światów: galerijna czystość i jej nieuczęszczane, marginalne zaplecze, czar wczesnych lat dwutysięcznych, które całe pokolenie spędziło, fotografując opuszczone, brudne miejsca, podziemne parkingi, pustostany, rozwalające się rudery – czar lat dwutysięcznych, oby nigdy nie wrócili. Powraca za to wstyd. Wrażenie mojej alternatywności rozwiewało się przy Bartku; nigdy nie byłem alternatywny, może myślałem

tylko alternatywnie. Po zrolowaniu pacana („Nie podnoś z podłogi tego, co wyleciało, daj spokój”) roztarł podeszwą grudki ziola i zaciągnął mnie dalej. Mostem kolejowym przerzuconym przez szeroką Wisłę, piętnaście metrów nad połyskującą chłodem wodą, pod linią torowiska, po wybrakowanym podeście dla pracowników konserwacyjnych, przez kilkumetrowe dziury wpada lek wysokości, balansujemy na stalowych sztabach. Po drugiej stronie stacja Zabłocie; mówię: posrane. „Ten spacer? Ha! To nic przy walexisie, żałuję, nie pomyślałem o syropku... trzy krople metelminu po wypaleniu ziola... i... i po człowieku...” Pracowaliśmy razem w fabryce na Zabłociu, z jeszcze jednym zjarusem, któremu poprzepalało styki do tego stopnia, że nie potrafił mrugać.

Przytomność odzyskuję dopiero pod kopcem Kraka, dwa kilometry dalej, strute płuca filtrują skondensowaną wilgoć, wysoko nad głowami zawiesiste, smutne, guzowate chmury rozgarnia pletwami połyskująca mątwą, dwa tumany rozpoznają w podniebnej płaszczyce nadający światłami swoją pozycję samolot. „Ja zmyślałem cały czas nazwy leków, nie zorientowałeś się? Cały wieczór zmyślałem nazwy leków”. Nie zorientowałem się. Jakoś głupio. „Przecież nie ma takich leków. Nie wolałeś mnie spytać, o czym ja mówię? Kiwałeś tylko głową, jakbyś wiedział, o czym mówię. Nie udawaj. Jezu, co z tobą? Czemu się dajesz tak nabierać? Wracamy?” Wracamy, bo zimno i nic tu nie ma. Wracamy. Do Maćka, do Baltazara. Do Moskwy. Do wspomnień podobnych podchodów, wspomnień podobnego oszustwa, od Bartka do Baltazara.

Pod ławką na przystanku, obok zaschniętych gum do żucia i rozdarłej pajęczyny, znaleźliśmy podklejoną taśmą, gumową, jaskrawożółtą opaskę na rękę z elektronicznym czytnikiem – następny etap podchodów przygotowany przez świtę Baltazara. Kaszłący dzwonek telefonu. Nie pytamy, skąd mają numer do Maćka, kiedy na komórkę przychodzi esemes w moment po założeniu opaski na przegub. Z wiadomości wynika, że kolejnej wskazówki szukać mamy w placówce najpopularniejszej moskiewskiej siłowni, pośród szkła i światła, bitumicznych ciężarów, strefy SPA, basenu przelewającego się od chlorowanej wody.

Do środka ładuje się Fyodor całym ciężarem ciała wybitego spod palmy wystającej z glinianej donicy na brzegu zbiornika. Rosyjscy japiszoni na plastikowych leżakach – wylegają się. Wchodzę, otwierając bramkę opaską. Wchodzę sam, Maciek został w holu. Kieruję się do szatni. Widząc półnagich, skośnookich Ruskich

i cyrylicę na ścianach udającą chińskie znaki alfabetu, przypomniały mi się legendy o dalekowschodnich regionach Rosji, tak azjatyckich, że ich mieszkańcy jedzą pomarańcze na co dzień zamiast chleba. Z opaską uciskającą przegub myślałem: jak długi może być test sprawdzający, czy przypadkiem nie jesteśmy agentami rozkładu; myślałem też: jak mam zrobić użytek z klubowej opaski otwierającej i zamykającej automatycznie białe szafki? Czarne lśniące cyfry na drzwiczkach sygnalizowały, że ich liczba sięga trzech setek, przy większości z nich paliła się czerwona

dioda, „zamknięte”. A w którejś z nich kolejna wskazówka. Prawdopodobnie, że chybiliśmy. Nie znaleźliśmy udzielonej nam podpowiedzi. Może odnosiła się do numeru przystanku, może do numeru linii tramwajowej, może wymagała znajomości ponurej numerologii, dokładnej analizy nadesłanego esemesa pod kątem mętnych tangensów i kabalistycznej trygonometrii, być może... Obejrzałem sztywną opaskę, wygiąłem ją palcem. Od wewnątrz również nie naniesiono żadnej informacji. Prosty człowiek, wręcz melepeta, zaczął przykładać opaskę do każdego zamknię-

tych drzwi, jedno po drugim, wykonując topornie długie sekwencje sprawdzeń, najprostszą z dostępnych metod – tym małopodem byłem ja, szukający rozwiązania sposobem genialnego idioty Thomasa Edisona, przedkładającego skuteczność nad styl, Edisona określonego lekceważąco przez Teslę mianem amerykańskiego majsterkowicza, który zamiast dwa razy się zastanowić, wołał rozwiązywać problemy przemocową metodą prób i błędów. Gdy ludzie zerkają – sedymencja obaw. Nareszcie, z kliknięciem – sukces. Opuszczają mnie spojrzenia demonów przepasanych białymi ręcznikami. Głęboki oddech i sięgnięcie wewnątrz głębokiej szafki, wysoko, poza linię mierzącego metr osiemdziesiąt wzroku (ludzie byli kiedyś tak mali – nawet Chrystus i papież; jak mali dla tych, którzy po nas przyjdą, będziemy my?). W wydobytej dłoni tkwi kartka, na kartce współrzędne geograficzne.

„Długo ci zeszło, zacząłem się martwić. Dostaliśmy esemesa z jakimiś cyframi, kiedy przeszedłeś przez bramkę”, mówi Maciek, kiedy wychodzę przez bramkę. „Już nieważne” – lekceważącym machnięciem ręki denerwuję samego siebie, ale po Maćku nie widać irytacji. Ostatnie światło przyszcina patio przed klubem, sprawdzamy współrzędne, korzystając z komórki.



Na pewno nas obserwują. Dopilnują przebycia całej drogi, bez skrótów, pod groźbą wszczęcia postępowania dyscyplinarnego i odwołania wizyty u Baltazara.

Niebo katastroficzne, tatuowane fest ciemnymi chmurami, wkrótce gęsty deszcz zasmużył, oddalając obiekty w przestrzeni. Około dwunastej – długa to podróż – następuje lądowanie na ustronnym skwerze z kocimi łbami i majaczącym w ciemnościach, skromnym posągami jakiegoś rosyjskiego uczonego ze wzniesioną wysoko, niebieskawą od brudów prawicą. Różowy dziecięcy plecak wisi zahaczony o kamienną rękę; nadeszła wiadomość, kazano nam odebrać przesyłkę, a potem przewieźć ją do punktu docelowego gdzieś na drugim końcu miasta. Jest pusto, nigdzie żadnego przechodnia. Bezpański brudny pies pije z kałuży. Mgła jak mokra gaza, którą trudno przełknąć. Otoczeni wałem wilgoci czekamy, mrowienie przebiega po lekko spoconych pod kurtką plecach i laskocze. Łatwo było się zabiec i zapędzić, posłuchać i teraz komend Baltazara przekazywanych przez pana hakera Kashtanskiego, ale sprawa – bardziej gardłowa niż się wydawało, weryfikacja – zaczęła niepokoić. Czekaj – mówię, łapiąc za ramiączko różowego plecaka trzymanego przez Maćka, Maciek przystaje. Czekaj – mówię. – Czy dobrze rozumiem, że mamy to dostarczyć na miejsce? Już też rozumie, o co mi chodzi. Stoimy nieruchomo, patrząc. Wpatrywanie się w dziecięcy plecak jak modlitwa, mistyczne próby przeświecenia tornistra wzrokiem. Co może być w środku? Kryptyczna wręcz lekkość plecaka, który waży w rękę. Co mógł schować wewnątrz papież? Tak ciemno z powodu warunków pogodowych i funeralnych nastrojów, że bez zdziwienia przywitano by na nieboskłonie tarczę księżycy. Otwieramy? – pytam. – No – odpowiadam. Kiedy dostatecznie szybko pociągniesz za zamek

błyskawiczny, wydaje on odgłos podobny do jazgotliwego szczeknięcia nadepnętego psa. Otwierasz plecak. Ze środka bucha mdlący zapach zduszonego plastiku. I nic więcej. Plecak jest pusty, ale palce szukają farszu. Wymacałem dokładnie mały walek zaszyty na plecach, prawie niewyczuwalny, chirurgiczny szew we wnętrzu plecaka. Pod nim coś szeleszczącego miękko i przesypującego się pod palcami jak groch. Wypisaliśmy się z dalszej zabawy. Odnieśliśmy plecak, odwiesiliśmy na posąg, nie patrzyliśmy za siebie, bo koszt spojrzenia mógł wynieść życie. Czemu zrezygnowaliśmy? Głupie pytanie. Lepsze: czym mieliśmy przyplacić przeniesienie paczki mulistymi moskiewskimi dniami w rosyjskim maglu?

– Myślisz, że co to mogło być? Narkotyki? Pieniądze? Ilu ludzi wcześniej mogło robić za kucyków i ilu z nich wpadło, chcąc tylko raz odbyć pielgrzymkę do swojego papieża? Ilu zostało więziennymi męczennikami za sprawę wiary? Papież gangus. Papież mafioso. – Maciek przytaknął. Spodziewaliśmy się wiadomości od Kashtanskiego, trzymałem telefon w pogotowiu. – Może to zwykły szwindel. Może. Ale co, jeśli w środku faktycznie nic nie było? Co, jeśli nasze zaufanie oraz wiara okazały się zbyt słabe? Nasza determinacja niewystarczająca? – Nie otrzymaliśmy więcej żadnych wiadomości. Po dwóch godzinach zostaliśmy usunięci z czatu, a cała historia naszej rozmowy przepadła, jakby nigdy nie istniała, wysniona przez nas, wysłiniona ustami wariata. Baltazar był. Albo było przynajmniej jego słowo. Widzieliśmy jego ślady, jego zagadki; on wystawiał nas na testy, on nas próbował, choć pozostał nieobecny, jak sam Bóg, i swoim kompetentnym pontyfikatem doprowadził do głębokiego przeżycia Tajemnicy Nieobecności nie tylko członków swojej wspólnoty, ale nawet nas, niewiernych.

R. TURNIEYOV

– (ur. 1990 r.) absolwent filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Autor krótkich form literackich publikowanych m.in. w „Twórczości”, „Wyspie”, „Toposie”. Na co dzień dyrektor kreatywny i producent w studiu animacji. Laureat polskich nagród graficznych.

Aktualnie poszukuje wydawcy dla swojej debiutanckiej powieści pt. *Stalker*.



fot. prywatne archiwum autora